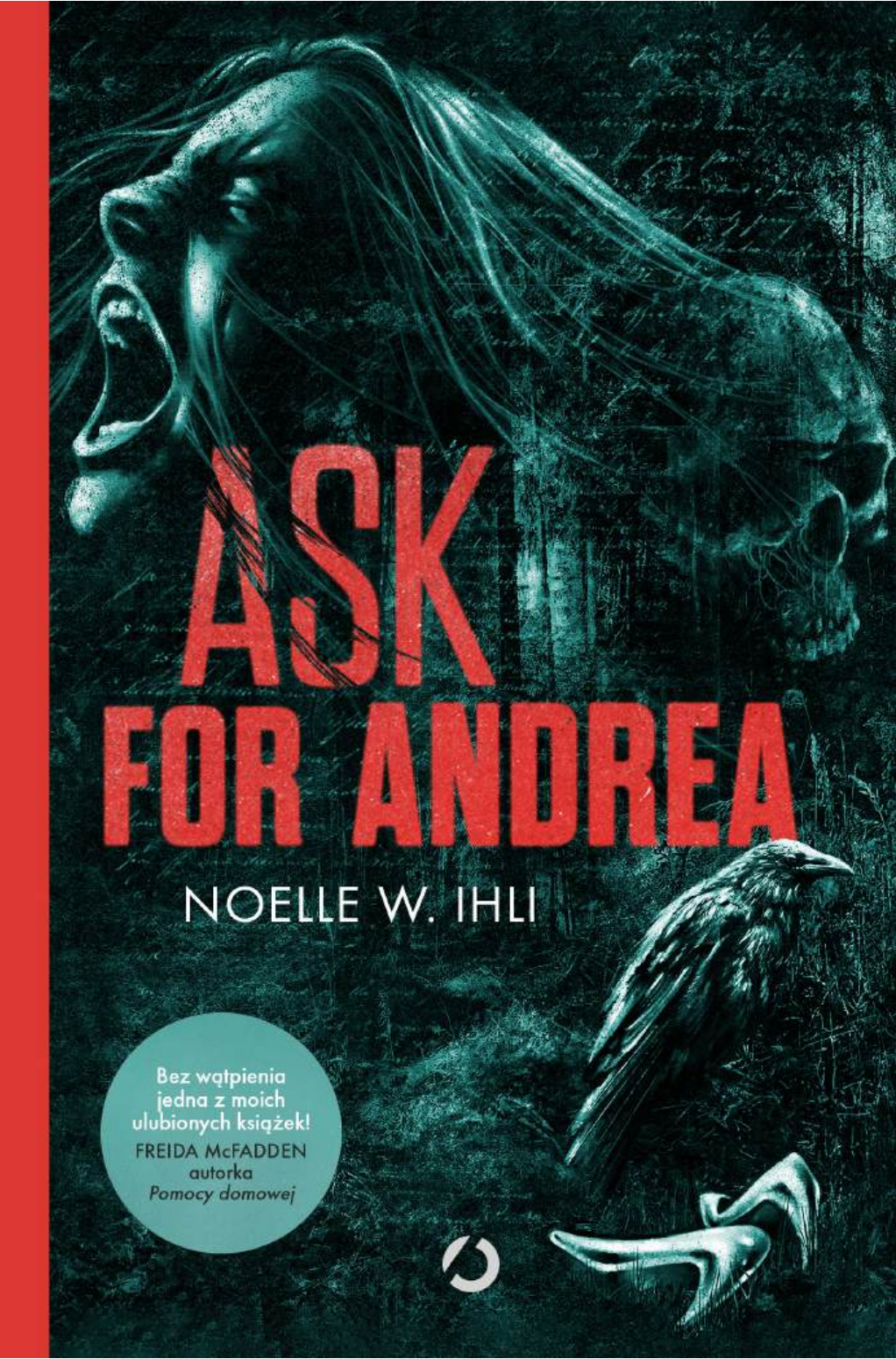




ASK FOR ANDREA

NOELLE W. IHLI

Bez wątpienia
jedna z moich
ulubionych książek!

FREIDA McFADDEN
autorka
Pomocy domowej



Tytuł oryginału: *Ask for Andrea*

Copyright © Noelle West Ihli

Copyright © for this edition by Wydawnictwo Otwarte 2024

Copyright © for the translation by Zbigniew Kościuk

Wydawca prowadzący: Alicja Konieczka

Redaktor prowadzący: Anna Małocha

Opracowanie typograficzne książki: Daniel Malak

Przyjęcie tłumaczenia, adiustacja, korekta i łamanie: Pracownia 12A

Projekt okładki: Monika Drobnik-Słocińska

Ilustracja na okładce: Maciej Kamuda

ISBN 978-83-8135-421-9

Wszelkie podobieństwo do rzeczywistych osób, zdarzeń i istniejących miejsc jest przypadkowe. Postacie i zdarzenia pojawiające się w tej książce są dziełem wyobraźni.



Dystrybucja: SIW Znak. Zapraszamy na www.znak.com.pl

*Nate'owi.
Będę na Ciebie polować
(tylko dlatego, że Cię kocham).*

ROZDZIAŁ 1

MEGHAN

GÓRY OQUIRRH, UTAH

ROK WCZEŚNIEJ

Chociaż przygniatał mnie swoją wagą, mój mózg krzyczał, żebym uciekała.

Uciekaj, dudniło mi w głowie, kiedy rzucił mnie na ziemię i zacisnął mi apaszkę – moją apaszkę – na szyi.

Ja jednak leżałam jak sparaliżowana, jak mysz schwytana przez kota, dopóki uścisk i ból nagle nie ustały.

Podniósł się na nogi i obserwował mnie przez kilka sekund, a później wykrzywił usta z odrazą. Ciężko dyszał. Jego blada twarz wisiała nade mną w ciemności, z charakterystyczną brodawką na policzku przypominającą dziwny znak przestankowy.

Wypuścił z rąk różowo-zieloną apaszkę, która upadła bezwładnie na ziemię obok mnie.

Uciekaj, ryknął ponownie mój mózg. UCIEKAJ!

Nadal ani drgnęłam. Nawet nie mrugnęłam okiem.

Odwrócił się w kierunku samochodu, który zaparkował na odnodze zrytej koleinami drogi gruntowej.

Mogłam sobie jedynie wyobrazić, co pozostawił w bagażniku. Jednak gdybym się nie poruszyła, dowiedziałabym się, co to takiego.

W końcu rzuciłam się do ucieczki, zaczęłam biec w kierunku spowitych cieniem sosen, które obiecywały kryjówkę, jeśli nie bezpieczeństwo.

Zsunęłam się po stromym brzegu do koryta wyschłego strumienia, przyspieszając i starając się nie upaść, całkowicie zapominając o obolałej szyi.

Nie byłam pewna, dokąd biegnę. Wiedziałam jedynie, że muszę zwiększyć odległość dzielącą mnie od nieskazitelnie czystej kii sorento. I co ważniejsze, uciec jego kierowcy – przystojnemu jak cholera facetowi o łagodnym głosie. Nazwałam go Iglą, kiedy opowiadałam Sharesie o zbliżającej się randce. Jak o igłę w ogromnym stogu siano kawalerów w aplikacji randkowej MatchStrike, pełnej rozwiedzionych dzieciatych tatuśków obciążonych skomplikowaną umową opiekuńczą i karłowatym ja prosto z łaźni na siłowni.

Jimmy był inny. Głębokie bursztynowe oczy, krótka broda pokrywająca kanciastą szczękę i krótko przycięte włosy z przedziałkiem sprawiały, że wydawał się bliźniaczko podobny do Chrisa Hemswortha.

Kiedy pokazałam Sharesie jego zdjęcie, aż zapiszczała.

Ale ja nie zapomniałam o swoich oczekiwaniach. Nie byłam nowicjuską na scenie internetowego randkowania. Po zakończeniu zmiany pojechałam uberem do Gracie's Spot w Salt Lake, gotowa na spotkanie z dziwnym kuzynem Chrisa Hemswortha. Po drodze wysłałam nawet Sharesie SMS-a. *Zadzwonisz do mnie godzinę po?* Zaraz po jego wysłaniu na ekranie pojawił się dymek z tekstem: *Co tylko zechcesz, wiem, że jesteś napalona.* Przewróciłam oczami. Kolejny dymek. *Zadzwoń < 3.*

Rozmawialiśmy, siedząc w głębi sali w Gracie's, aż do zamknięcia o dwudziestej trzeciej. Z łazienki wysłałam Sharesie SMS-a, że ostatecznie nie potrzebuję ratunku.

Odpisała natychmiast, swoim typowym tekstem: *Napaaaaalona*.

Kiedy myłam ręce, moją uwagę zwróciła kartka przyklejona do lustra: „Randka nie rozwija się po twojej myśli? Czujesz się zagrożona? A może czujesz się tylko lekko nieswojo? Zapytaj o Andreę przy barze. Dopilnujemy, żebyś wróciła bezpiecznie do domu”. Uśmiechnęłam się, wycierając ręce, wdzięczna, że nie muszę prosić o pomoc. Nie dzisiaj. Nie z nim.

Przestałam się gapić na kartkę przyklejoną do lustra i jeszcze raz spojrzałam na własne odbicie. Poświęciłam specjalną uwagę włosom, choć zwykle pozwalam, żeby opadały swobodnie na ramiona. Wcześniej ułożyłam je w fale, które przybierały złocistą barwę w świetle restauracji. Nałożyłam dodatkową warstwę ciemnoróżowej szminki, która od lat była moim znakiem rozpoznawczym, i zacisnęłam wargi, zastanawiając się, czy później mnie pocałuje.

W ciągu całego wieczoru wypilałam dwa piwa. Za mało, żebym się wstawiła lub coś takiego, tylko tyle, żeby przestać się denerwować. Bo w rzeczywistości facet nie wyglądał jak przyprawiający o gęsią skórę kuzyn Chrisa Hemswortha. Wręcz przeciwnie, był troskliwy i zabawny. Nawet duża brodawka na policzku jakimś sposobem czyniła go jeszcze bardziej atrakcyjnym.

Pił piwo imbirowe, co mnie nie zaskoczyło, bo w końcu mieszkałam kiedyś w Utah.

Ostatnią rzeczą, którą zapamiętałam, było to, że zrobiło mi się ciut za gorąco. I że byłam naprawdę, ale to naprawdę szczęśliwa. Później ciepłe światelka modnych lamp otoczyła mała aureola. Dlatego kiedy zaproponował, że odwiezie mnie do domu, abym nie czekała w zimnie na ubera, nie wahałam się ani chwili.

Samochód miał na fotelach takie pomarszczone papierowe pokrowce, jakby dopiero co wyjechał z myjni.

To ostatnia rzecz, którą zapamiętałam. Kiedy się później obudziłam, byłam w jego rękach z apaszką – własną apaszką – okręconą wokół szyi. Ciepłe światła restauracji Gracie's zniknęły, zastąpione przez kłujące sosnowe igły i ziemię pod włosami oraz wirujące mroczne powietrze lodowatej nocy.

Przez kilka sekund nie mogłam zrozumieć, co się działo. Nie mogłam krzyczeć. Nie mogłam się poruszyć. Nie mogłam nawet stwierdzić, gdzie się znajduję. Wiedziałam jedynie, że wszystko mnie bolało.

Kiedy ujrzałam nad sobą jego błyszczące oczy, jak przez mgłę przypominałam sobie naszą randkę. Jego oczy nie były już ciepłe ani nawet bursztynowe, jak w boksie restauracji Gracie's. Były chłodne. Duże. I pełne furii.

Pomyślałam o kartce w łazience u Gracie's. Zapytaj o Andreę.

Teraz Andrea nie mogła mi pomóc. Nikt nie mógł.

Biegłam tak szybko jak jeszcze nigdy w życiu, tak szybko, że zapominałam o dudnieniu w głowie i piersi, i o apaszcze zaciśniętej na szyi.

Było mi wszystko jedno, dokąd uciekam. Liczyło się jedynie zwiększenie dzielącej nas odległości, nawet gdyby oznaczało to gnanie na oślep w głąb majaczącego przede mną lasu.

Zdawało mi się, że słyszę czyjeś wołanie, kiedy staczałam się skalistym zboczem do koryta płytkiego wyschniętego strumienia. Wołanie przypominające krzyk kobiety.

Zignorowałam je i biegłam dalej.

Nie ścigał mnie.

Nie musiał.

Bo kiedy w końcu się zatrzymałam, ku swojemu zdumieniu odkryłam, że nie straciłam tchu.

Równie szybko zdumienie przerodziło się w przerażenie.

Nie dyszałam zziajana, bo w ogóle nie oddychałam.

ROZDZIAŁ 2

BRECIA

BOULDER, KOLORADO

DWA LATA WCZEŚNIEJ

Zrozumiałam, iż nie żyję, tak samo, jak uświadamiasz sobie, że spałaś. Tylko w odwrotnej kolejności. Bo zły sen okazał się rzeczywistością.

Początkowo nie wiedziałam, co się stało. Dopóki nie minęło kilka sekund. Dopóki się nie podniosłam – choć moje ciało nadal leżało nieruchomo. Spojrzałam na miękką batystową pidżamę, którą włożyłam po powrocie z pracy, teraz brudną i mokrą. Jeden z pantofli zsunął się ze stopy tak, że widać było odpryśnięty brzoskwiniowy lakier na paznokciach. Moje długie ciemne włosy były umazane jakąś ciemniejszą lepką substancją. Nie czułam już pulsującego bólu głowy ani potwornego ucisku na szyi.

On też na mnie patrzył. A właściwie nie na mnie, tylko na nie. Na moje ciało. Wpatrywał się w moje znieruchomiałe, nabiegłe krwią orzechowe oczy. Ciężko dyszał, ale jego twarz była pozbawiona wyrazu. Nadal trzymał w rękach przedłużacz.

Miał brodę w stylu Joaquina Phoenixa, która niemal całkowicie – choć nie do końca – zakrywała ciemną brodawkę

na policzku. Ta brodawka sprawiała, że wyglądał na dzieśnięć lat starszego, niż kiedy go widziałam ostatnim razem. Gdyby wtedy miał brodę, pewnie nie umówilibyśmy się na randkę. Nie zrozumcie mnie źle: zemdlalabym na widok ładnego świeżego zarostu, ale ten wystarczyłby na całe ptasie gniazdo. Z dziewięciu punktów na skali atrakcyjności portalu randkowego spadł do bardzo solidnych trzech.

W ubiegłym roku spotykaliśmy się przez dokładnie tydzień. Skąd to wiem? Bo był smutny, kiedy spędziłam naszą „pierwszą tygodnicę” z przyjaciółkami. Nie potrafiłam zrozumieć, dlaczego tak mu to przeszkadzało. Było to w rocznicę urodzin Lanelle. A poza tym, jak już wspomniałam, chodziliśmy ze sobą dopiero tydzień. Mimo to gadałam o nim przez cały czas. Od ostatniego zerwania kilka lat wcześniej rzadko umawiałam się na randki, więc ponowne wypowiedanie słowa „chłopak” wzbudzało przyjemne uczucia. No i było miło nad margaritą z sokiem arbuзовym odpowiadać na pikantne pytania w rodzaju, czy dobrze całuje (tak), czy jest dobry w łóżku (nie mam pojęcia, jesteśmy na początku) i jak się poznaliśmy. Z ostatnim pytaniem miałam pewien problem, bo nie byłam dumna z tego, że w końcu popadłam w taką rozpacz, że założyłam konto w aplikacji randkowej MatchStrike. Dlatego unikałam odpowiedzi. Postanowiłam, że przyznam się do wszystkiego, jeśli znajomość przetrwa.

Kiedy wpadłam na niego, wychodząc z restauracji po przyjęciu Lanelle, początkowo nie wiedziałam, co o tym sądzić. Uśmiechnął się tym swoim cudownym uśmiechem i zachowywał tak, jakby był to jakiś szalony zbieg okoliczności. Tak to zresztą przedstawiłam Lanelle i pozostałym przyjaciółkom. Zauważyłam, że uznały go za uroczonego. To akurat mi się udało. Dlatego odsunęłam na bok nieprzyjemne uczucie, gdy próbowałam sobie przypomnieć, czy

wspomniałam mu wcześniej o nazwie restauracji. Byłam całkiem pewna, że tego nie zrobiłam.

Pozwoliłam, żeby odwiózł mnie do domu, choć oznaczało to pozostawienie mojego samochodu na parkingu Barbacoa. Początkowo wydawał się uradowany naszym spotkaniem. Jednak kiedy zapytałam, z kim się spotkał w tej restauracji, nie odpowiedział. A kiedy spytałam ponownie, wybuchnął.

Gadał bez końca, że go zrywam, aby spotykać się z przyjaciółkami. A później zaczął wymyślać, że nie byłam zadowolona z naszego spotkania w lokalu.

Tego wieczoru wysłałam mu wiadomość, że powinniśmy zerwać. Natychmiast oddzwonił. Kiedy nie odebrałam, zadzwonił ponownie. Gdy zrobił to jeszcze kilka razy, ustawiłam tryb lotniczy w telefonie i poszłam spać, nadal czując smak margarity i żalując, iż powiedziałam o nim Lanelle i innym dziewczynom.

Kiedy obudziłam się następnego ranka, czekały na mnie dwadzieścia dwie wiadomości. Zaczynały się słodziuteńko. Miał wczoraj okropny dzień i po prostu chciał się ze mną zobaczyć. Rozumiał, dlaczego byłam zdenerwowana. Czy mogłabym dać mu jeszcze jedną szansę? Jednak w ostatniej wiadomości byłam już tłustą dziwką. Tłustą dziwką, która zmarnowała jego czas. Gdy skończyłam czytać, nadeszła jeszcze jedna. Wiedział, że przeczytałam jego SMS-y, więc dlaczego nie odpowiadałam? Zmarnowałam jego czas, zламаłam mu serce, a teraz nawet nie raczyłam odpisać.

Wiadomości napływały przez trzy kolejne dni, chociaż nie odpowiadałam. W końcu zablokowałam jego numer i umieściłam ostrzeżenie na jego profilu w aplikacji Match-Strike, myśląc, że oszczędzę kłopotów innym dziewczynom.

Kiedy SMS-y przestały przychodzić, prawie o nim zapomniałam.

Zrobiłam remont swojego bliźniaka, dostałam nową pracę i podwyżkę. Wyhodowałam sobie grzywkę i pasemka i usunęłam aplikację MatchStrike po poznaniu kilku dudków, którzy nie dotrwali nawet do drugiej randki. No i adoptowałam kota – syjamskiego, typu fire-point – imieniem Frank.

Dlatego kiedy tamtego wieczoru w pidżamie wynosiłam kubel ze śmieciami na podwórko, był ostatnią osobą, którą spodziewałam się zobaczyć.

W pierwszej chwili nawet go nie rozpoznałam (z powodu tej okropnej brody). Stał sobie wyluzowany, jakby był to jakiś przypadek. Tak jak tamtej nocy w restauracji Barbacoa. Tylko że teraz stał na moim podwórku. Za moim płotem.

Mało nie krzyknęłam. Połapałam się dopiero wtedy, gdy rozpoznałam jego oczy. Szczerze mówiąc, trochę mi ulżyło, że nie jest to jakiś nieznajomy.

Później się wściekłam. Przecież minął cały rok. Co z nim nie tak? Zjawia się w taki sposób? Straszy mnie? I myśli, że teraz mu wybaczę?

Wtedy wyciągnął przedłużacz. Mój przedłużacz. Rozpoznałam go jak na filmie w zwolnionym tempie, gdy facet szedł w moją stronę. Nie zadałam sobie trudu zabrania go do środka po tym, jak przed rokiem zmotywowałam samą siebie do zapalenia światełek bożonarodzeniowych.

Jeśli koniecznie chcecie wiedzieć, uduszenie kogoś wymaga dużo czasu. Usłyszałam to w jednym z odcinków *Investigation Discovery*. I mogę was zapewnić, że dla tego, kto jest duszony, trwa to jeszcze dłużej. Moja krtań płonęła. Moja głowa płonęła. Moja klatka piersiowa płonęła. Miałam wrażenie, że nawet moje oczy płoną. Nie mogłam

wydać z siebie żadnego dźwięku. Nie mogłam nawet niczego zobaczyć, bo łzy spływały mi po policzkach.

Przypuszczam, że dla niego również trwało to stanowczo za długo. Bo w końcu uderzył bokiem mojej głowy o chodnik. Wszystko pociemniało. Nieznośne pieczenie nagle zniknęło wraz z lodowatym powietrzem i dotykiem szorstkiego, wilgotnego chodnika.

Kiedy po raz pierwszy ujrzałam swoją... – nadal nie wiedziałam, jak to nazwać: duszą? duchem? echem? – miałam wrażenie, jakbym oglądała własne odbicie w lustrze. Nie byłam jakimś tchnieniem wiatru ani nic takiego. Nie byłam przezroczysta. Po prostu już nie żyłam. Nadal miałam na sobie pidżamę i pantofle, ale wyglądały na czyste, jak przed kilkoma minutami.

Kiedy zdał sobie sprawę, że nie żyję – co nastąpiło długi czas po tym, gdy ja uświadomiłam sobie, że jestem martwa – wycofał się szybko tylną bramą. Ja stałam nadal obok własnego ciała i pojemnika na śmieci, który przed chwilą wyniosłam z garażu.

Później poszłam za nim, bo okazało się, że z łatwością dotrzymuję mu kroku – co za życia nigdy mi się nie zdarzyło. Chwyciłam go nawet za ramię i patrzyłam, jak moje palce spoczywają lekko na jego barku. Miałam dziwne wrażenie, że go przenikną.

Nie zareagował. Jednak przyspieszył kroku, oddalając się mrocznym podjazdem, a później chodnikiem, aż dotarł do niebieskiej kii, którą zaparkował na końcu ulicy.

Kiedy otworzył drzwi po stronie kierowcy, dałam nura do środka razem z nim. Nie miałam zamiaru ryzykować, że odjedzie, zatrzasnąwszy mi drzwi przed nosem.

Obserwując, jak spieszy się do samochodu, wiedziałam, że nie zdołam zrobić niczego dla dziewczyny, która leżała na chodniku z krwią we włosach. Nie mogłam też uczynić

niczego dla Franka, który pewnie nadal spał w dużym fotelu w mojej sypialni.

Tamtej nocy nikt mnie nie szukał. Nikt nie mógł odkryć mojego zniknięcia, ani tym bardziej śmierci, przynajmniej do czasu mojego niepojawienia się w pracy następnego dnia. Tak czy owak nikt nie mógł mi pomóc.

Zanim odjechał, wytarł ręce wilgotnymi chusteczkami. Starannie. Niemal czule. Jakby przed chwilą nie użył tych dłoni do zaciskania brudnego kabla na mojej szyi, obok śmietnika na bocznym podwórku, dopóki nie przestałam walczyć.

Kiedy o tym myślę, dochodzę do wniosku, że właśnie wtedy postanowiłam, że będę go prześladować.

Obserwowałam go z fotela pasażera, kiedy prowadził. Podczas dwudziestominutowej podróży do jego mieszkania bursztynowe oczy, czarne w ciemności panującej we wnętrzu pojazdu, pozostawały utkwione w drodze.

Nie było to mieszkanie, o którym opowiadał mi rok temu – z takimi szczegółami, jak skarpety, które jego współlokator zostawił w kuchni – tylko mieszczący się w Broomfield mały parterowy dom z cegły w stylu lat siedemdziesiątych, z przepalającą się żarówką na werandzie.

Ruszyłam za nim frontową ścieżką, mijając rower z dużym przednim kołem leżący na zarośniętym klombie i płataninę półnagich lalek Barbie na schodach.

Samotne światelko na werandzie zamrugało, kiedy przekręcał galkę i wchodził do środka, zatraskując za sobą drzwi i zostawiając mnie samą na zewnątrz, przypatrującą się zabawkom i chaotycznie rozrośniętym azaliom, których, czego byłam pewna, nie zasadził.

Okazało się, że nie mogłam po prostu przejść przez frontowe drzwi, kiedy wszedł do środka, więc byłam

zadowolona, że wskoczyłam do samochodu, kiedy miałam taką okazję.

Stałam chwilę na werandzie, bo mimo wszystkich przerażających filmów, których się naoglądałam, nie miałam żadnych przydatnych informacji związanych z byciem martwą. Czy mogłabym obrócić gałkę u drzwi, gdybym skoncentrowała się naprawdę mocno? Nie. Co by się stało, gdybym krzyknęła? Spróbowałam. Słyszałam samą siebie, ale sądząc po reakcji faceta wyprowadzającego psa po drugiej stronie ulicy, nikt inny nie był w stanie.

No, może nie była to do końca prawda. Pies – mały szary sznauzer – zatrzymał się i spojrzał na werandę.

Nabrałam nadziei.

– Hej, kolego! Hej!

Sznauzer cicho zawarczał, a następnie powęszył i ruszył dalej. Właściciel nawet nie oderwał wzroku od niebieskiej poświaty swojego smartfona.

Odwrociłam się od nieprzydatnego do niczego psa i usiadłam na werandzie. Spojrzałam na swoje dłonie, a właściwie na ich odbicie. Na to, jak opierają się na odbiciu moich kolan. Na to, w jaki sposób moje stopy opierają się na popękanych betonowych płytach, ledwie ich dotykając, jakbym była zbudowana z materiału nieznacznie tylko cięższego od powietrza.

Z całej siły machnęłam ręką w kierunku liścia leżącego na stopniu, ale ten poruszył się tak niedostrzegalnie, że nie można było stwierdzić, czy nie dokonało się to za sprawą nocnego powietrza.

Jesteś martwa, powiedziałam sobie stanowczym tonem. Smuć się.

Gdy moja ulubiona ciotka zginęła w wypadku samochodowym, poduszka zaprzeczenia działała przez dobrą godzinę. Cios był zbyt silny. Nie zdołałam przyjąć tego do

wiadomości. Kiedy ten fakt w końcu do mnie dotarł, czułam się tak, jakby pozbawiono mnie tchu. Tak to przeżywałam. Jednak tym razem spotkało mnie coś niewyobrażalnie potwornego.

Widziałam niewyraźne kształty poruszające się za kuchennym oknem z matowego szkła, tego nad rabatką. Weszłam między azalie, obserwując, jak moje odbicie rozprasa się w przestrzeni pomiędzy tyczkowatymi kwiatami. Rośliny się nie poruszyły, ale ja tak.

Gdybym nie została zamordowana, byłoby to zupełnie fascynujące zjawisko. Jednak podsunęło mi to pewien pomysł. Nie mogłam przejść przez mur ani cegokolwiek chwycić, ale miałam wrażenie, że mam całkowitą władzę nad nocnym powietrzem. Nawet nie nad wiatrem, ale nad powietrzem.

Rozmyślałam o tym przez chwilę, obserwując liście azalii poruszające się przy najbliższym powiewie. Zbliżyłam dłoń do najbliższego kwiatu i sięgnęłam palcami do pęku kwiecia. Tym razem obserwowałam uważniej, jak moja ręka wślizguje się niczym dym pomiędzy dwa duże kwiaty barwy fuksji.

Nie byłam wiatrem – byłam powietrzem. Wiadomo, że powietrze może się dostawać w różne miejsca. Podsunęło mi to pewien pomysł.

Obeszłam dom i dotarłam do bocznej bramy, która okazała się zamknięta. Przez sztachety mogłam zobaczyć boczne podwórko i pojemniki na śmieci. Skoncentrowałam się na powietrzu pomiędzy sztachetami i ruszyłam naprzód.

Stosunkowo łatwo przedostałam się przez ogrodzenie.

Moje spojrzenie zatrzymało się na lekko uchylonych drzwiczkach dla kota, które prowadziły do garażu. Także przez nie się przedostałam. Bez problemu.

Zapalone światło odsłaniało schludny garaż z kilkoma rzędami pudeł ustawionymi przy jednej ścianie oraz minivanem przy drugiej. Spojrzałam przelotnie na pudła oznaczone napisami „kuchnia”, „łazienka”, „sypialnia” itd. Na górnym pudle leżał marker i plik nalepek.

Przeprowadzał się.

Usłyszałam hałas za plecami i odwróciłam się w samą porę, żeby zobaczyć małego pręgowanego kota czmychającego z garażu przez kocie drzwiczki.

– Cześć, kotku – powiedziałam łagodnym głosem. Przyśięgam, że usiadł i wpatrywał się we mnie przez kilka sekund, a później usadowił się przy misce z karmą. Poszłam za nim i przykucnęłam obok, kiedy jadł. Pomyślałam o Franku i jego trajkoczącym miauczeniu. W tej chwili przypuszczalnie szarpał dywan u podstawy schodów, aby zaprotestować, że jeszcze go nie nakarmiłam.

Wiedziałam, że nie mogłabym płakać prawdziwymi łzami, mimo to czułam znajome szczypanie w oczach i ogarniający mnie smutek. Nie poczułabym nawet puszystego futerka pod brodą Franka i nie usłyszałabym dudniącego mruczenia, kiedy kładł się na łóżku obok mnie i ponownie zamykał ślepią.

Kiedy przykre uczucie się wzmogło, coś cicho wystrześliło i nagle garaż pogrążył się w ciemności.

Zamarłam bez ruchu, nasłuchując cichego brzęczenia żarówki.

– Myślę, że to zrobiłam – wyszeptałam do chrupiącego jedzenia kota.

Drzwi prowadzące do domu otaczały małe punkciki światła. Podeszłam bliżej i usłyszałam przytłumione głosy dolatujące ze środka.

Godzinę temu zabrał mi wszystko, co miałam.

Nie wiedziałam jak, ale postanowiłam, że mu odpłacę.

ROZDZIAŁ 3

SKYE

KUNA, IDAHO

OBECNIE

Tamtego lata często bywał w kawiarni Daily Grind podczas mojej zmiany.

Nie przeszkadzało mi to. Właściwie to czekałam na nasze spotkania. Dawał napiwki. Był miły. W dodatku należał do nielicznych białych facetów z Idaho, którzy nie próbowali wyciągnąć ze mnie, skąd naprawdę pochodzę, ani skorzystać z okazji sprawdzenia swojego raczkującego hiszpańskiego. (Ku rozczarowaniu mojej mamy, w szkole średniej przez dokładnie rok chodziłam na zajęcia fakultatywne z hiszpańskiego).

Nazywał mnie Dolly, bo nosiłam bluzkę z Dolly Parton w dniu, kiedy pierwszy raz przyszedł na gorącą czekoladę. Nigdy nie zamawiał kawy. Zawsze gorącą czekoladę. Było to trochę niezwykle, więc zapamiętałam jego zamówienie. Później zaczęłam umieszczać uśmiechniętą buźkę na powierzchni czekolady, obok jego imienia. James.

– Dziękuję, Dolly – mówił z uśmiechem, który sprawiał, że dostawałam wypieków.

Oczywiście, mamrotałam coś niezręcznie w odpowiedzi i odwracałam się, by podać następne zamówienie. Jego bursztynowe oczy – przysięgam, że wyglądały jak ciemne płynne złoto – zatrzymywały się na mnie, a ja udawałam, że tego nie zauważam.

Mój menedżer, Ken, droczył się ze mną czasami z jego powodu. Raz powiedział, że powinnam zapisać swój numer telefonu na powierzchni jego czekolady, kiedy przyjdzie następnym razem.

– Ten bubek, amator gorącej czekolady, który wygląda jak Chris Hemsworth, wyraźnie z tobą flirtuje – zauważył, poruszając znacząco brwiami. – Piłka jest po twojej stronie boiska, kochanie.

Prawie to zrobiłam. Czasami rozważałam ten pomysł w głowie, kiedy podgrzewałam komuś bajgla lub dodawałam równo pięć i pół miarki syropu karmelowego do frappuccino. Z zakłopotaniem przyznawałam – nawet samej sobie – że nigdy nie byłam na prawdziwej randce, nie wspominając o zrobieniu pierwszego kroku. Mówiłam sobie, że właśnie po to jest college. Kiedy na jesieni pójdę do college’u, jakimś sposobem zrzucę starą skórę i wyzbędę się nieporadności, gdy przekroczę progi campusu Idaho State University.

Nie było dla mnie niczym niezwykłym, że tego lata widywałam go trzy lub cztery razy w tygodniu, ale na kilka tygodni przed moim planowanym wyjazdem na ISU nagle przestał przychodzić. Czułam się dziwnie smutna z tego powodu. Jakbym utraciła swoją szansę lub coś w tym stylu. Kiedy pracowałam, wyobrażałam sobie jego twarz, czując żal, że pewnie nigdy więcej go nie zobaczę. Szczerze mówiąc, był bardzo przystojny z tymi swoimi karmelowymi oczami, czarnymi włosami i dramatycznym celebryckim pieprzykiem, który tak naprawdę był mi obojętny.

Uznałam to za zrządenie losu, kiedy ostatniego dnia pracy przed wyjazdem na ISU stanął w drzwiach naszej kawiarenki i zamówił to co zwykle. Czułam, że czerwienię mi policzki, kiedy próbowałam zmusić się do zapisania numeru telefonu na jego kubku z gorącą czekoladą. Wmawiałam sobie, że to rodzaj ćwiczenia. Dowód na to, że jestem gotowa do college'u (nie byłam). Ale stchórzyłam. Za dwa dni miałam wyjechać do szkoły, więc jaki miałoby to sens?

Wymamrotałam pospiesznie, że to mój ostatni dzień. Że pewnie już mnie nie zobaczy w Daily Grind. Spojrzał na mnie autentycznie rozczarowany, a później wzruszył ramionami.

– Będzie mi cię brakowało, Dolly.

Moje policzki poczerwieniały jeszcze bardziej i aż do jego wyjścia udawałam, że ekspres do kawy jest nieszczelny. Ty idiotko, pomyślałam sobie, pamiętając hiszpańskie przekleństwo.

O czwartej skończyłam zmianę i zwróciłam fartuszek oraz identyfikator pracownika. Przytuliłam Kena, obiecując, że będę mu wysyłała SMS-y, a później ruszyłam w kierunku przystanku autobusowego. Kiedy zamierzałam napisać do mamy w sprawie obiadu – chciałam placki pupusa z naszego ulubionego food trucka, bo tego dnia opuściłam lunch i umierałam z głodu – zauważyłam samochód zwalniający obok mnie przy centrum handlowym.

To był on.

Uśmiechnął się do mnie po swojemu, jakby mój widok go zaskoczył. Jakby nasze spotkanie było szczęśliwym trafem. A później zapytał:

– Cześć, Dolly. Chcesz się przejechać?

Nawet się nie zawahałam. Wszechświat ofiarował mi drugą szansę po tym, jak ostatnio – i tyle razy wcześniej –

stchórzyłam. Bez trudu uciszyłam głos pytający, co robi w sennym centrum handlowym dwie godziny po tym, jak go ostatnio widziałam.

– Jasne, czemu nie? – odpowiedziałam, zadowolona, że mój głos brzmi tak swobodnie, chociaż serce wali mi w piersi. To nic wielkiego, powiedziałam sobie. Przecież nie jest nieznajomym. Poprawiłam kręcone włosy, które były w nieładzie jak zawsze po pracy.

A później wsiadłam do niebieskiej kii i zapięłam pasy.

– Może chciałabyś najpierw coś zjeść? – zapytał, a moje serce nieco się uspokoiło.

– Pewnie. Umieram z głodu – odrzekłam, rumieniąc się i wpatrując w ciemną brodawkę na jego policzku. To oznaczało, że zaprosił mnie na randkę. Nie mogłam się doczekać chwili, kiedy będę mogła wysłać Kenowi SMS-a. Będzie ze mnie dumny.

On się uśmiechnął.

– W takim razie zabiorę cię w swoje ulubione miejsce, dobrze? Leży trochę na uboczu, ale warto.

Głos w mojej głowie odezwał się ponownie. Mieszkiałam w Kunie przez całe życie i było naprawdę niewiele miejsc, których nie odwiedziłam. Szczególnie takich, w których sprzedawali jedzenie.

– Jak się nazywa? – zapytałam.

Potrząsnął głową.

– Zobaczysz.

Po drodze zaczął mnie wypytywać. O moją rodzinę. O to, czy kiedykolwiek odwiedziłam Salvador (raz, gdy byłam małą). Jakiej muzyki słucham. Co chcę studiować. Czy jestem rannym ptaszkiem, czy nocnym markiem. Pytanie za pytaniem. Jakbym była najbardziej interesującą osobą na świecie. Cały czas z uśmiechem. Zerkając na

mnie ukradkiem, kiedy skręcał na autostradę międzystanową do Boise.

Postanowiłam się rozluźnić. Boise znajdowało się w odległości trzydziestu minut jazdy, ale nie było tam żadnych restauracji.

Skoncentrowałam się na jego słowach i próbowałam być zadowolona. Opowiadał mi o jednym ze swoich współlokatorów, który na ich ostatniej imprezie dostał kufel zamiast beczułki piwa. Roześmiałam się, chociaż nie byłam pewna, jaka jest między nimi różnica, ale tego nie zamierzałam wyjawiać. Wydawał się nieco za stary na imprezowanie, ale co ja tam widziałam?

Pięć minut później włączył migacz, żeby zjechać z międzystanowej. Spojrzałam na znak. Blacks Creek. Kuna-Mora Road. Skręciło mnie w żołądku, ale on kontynuował swoją opowieść. Byłam kiedyś na Blacks Creek Road na pieszej wędrówce. O ile wiedziałam, w okolicy nie było żadnych restauracji. Tylko wzgórza i kaniony.

Zaczął mnie boleć brzuch.

– Czy to właściwy zjazd? – zapytałam tak beztrząsowo, jak potrafiłam, bo w dalszym ciągu bałam się, że wszystko zepsuję. Że zranię jego uczucia. I że się wyda, iż jestem dzieckiem i nigdy nie byłam na prawdziwej randce ani nie pocałowałam chłopaka. I że Ken – który sam miał chłopaka – był jedynym facetem, z którym spędzałam więcej czasu.

– Nie byłeś w Moe's? – zapytał, spoglądając na mnie z autentycznym zdumieniem. – I ty tutaj dorastałaś? – Posłał mi szelmowski uśmiech, a ja mu uwierzyłam.

Na wszelki wypadek postanowiłam wysłać mamie SMS-a.

– Moe's? – zablefowałam. – Och, zawsze chciałam tam pojechać. – Z trudem przelknęłam ślinę, wyciągając telefon

z kieszeni. – Wyślę tylko SMS-a mamie, żeby wiedziała, gdzie jestem. Powiedziałam jej, że niebawem będę w domu.

Zaraz potem spojrzałam na ekran i zobaczyłam, że nie ma zasięgu.

Moje kciuki zawisły nad okienkiem wiadomości tekstowych, gdy raz za razem odczytywałam ostatnią wiadomość tekstową od mamy. *Te quiero, mi 'ja**.

Niepokój powrócił. Kiedy podniosłam głowę i na niego spojrzałam, zauważyłam, że mnie obserwuje. Wykrzywiłam twarz w sztucznym uśmiechu.

Zareagował spokojnie.

– W promieniu kilku kilometrów nie ma zasięgu, ale zaraz za tym wzgórzem są trzy bary. To żaden problem. Chcesz, żebym się zatrzymał w jednym z nich, abyś mogła wysłać mamie SMS-a?

Gwałtowne przejście od przerażenia do ulgi spowodowało, że zakreśliło mi się w głowie. W końcu zdobyłam się na autentyczny uśmiech. Może Moe's naprawdę istnieje. Może wszystko jest w porządku. Może zdenerwowałam się bez powodu. Jak zawsze.

– Pewnie – odpowiedziałam. – Mama będzie się martwić, jeśli tego nie zrobię.

Kilka minut później dotarliśmy do zakrętu. Przed nami pojawił się znak „Zjazd na ranczo”. Zwolnił i włączył kierunkowskaz, jakby zamierzał skrócić w szutrową drogę. Spojrzałam na telefon, kiedy opony zachrzęściły na nierównej kamienistej nawierzchni.

Brak sygnału.

– Jeśli w dalszym ciągu nie masz zasięgu, powinien być o tam, nad strumieniem – powiedział, jakby czytał mi

* *Te quiero, mi 'ja* (hiszp.) – Kocham cię, córeczko. (Wszystkie przypisy pochodzą od tłumacza).

w myślach, i z uśmiechem wskazał kierunek. – Znalazłem to miejsce przypadkiem, gdy mój przyjaciel Greg musiał się zatrzymać na siku.

Roześmiałam się i wysiadłam z samochodu. Kiedy ruszyliśmy w kierunku strumienia, nie odrywałam wzroku od telefonu.

Nadal brak zasięgu.

Uniosłam telefon, zrobiłam kilka kroków i spróbowałam ponownie.

W dalszym ciągu nic.

Właśnie wtedy chwycił mnie od tyłu. Złapał jedną ręką za włosy i pociągnął. Druga ręka zacisnęła się na gardle, kiedy przycisnął mnie do ziemi. Wyładowałam twardo na brzuchu, ale jedynym dźwiękiem, który wydałam, był stłumiony jęk, kiedy przyszpilił mnie kolanami.

Próbowałam krzyczeć. Próbowałam się przekręcić, aby zrzucić go z siebie. Próbowałam walczyć.

Mogłam skupić się wyłącznie na tym, aby zdjąć jego rękę ze swojego gardła.

Kiedy byłam w czwartej klasie, mały chłopiec z sąsiedniego domu – na imię miał Dewey – utopił się w jacuzzi na patio za domem. Dostał się do niego, kiedy jego mama przygotowywała lunch. Gdy był w środku, pokrywa się zatrzasnęła. Zdarzało się, że po tym wypadku nie mogłam zasnąć w nocy. Nie mogłam przestać myśleć o tym, jak musiał się czuć.

Utonięcie było najgorszym rodzajem śmierci, jaki potrafiłam sobie wyobrazić.

Aż do tej chwili.

Nim straciłam przytomność, nie mogło upłynąć więcej niż kilka minut, ale sekundy zdawały się dłużyć, gdy próbowałam – bezskutecznie – znaleźć sposób na powstrzymanie go.

Kiedy w końcu ogarnął mnie mrok, ból i ucisk zniknęły wraz ze światłem.

Gdy światło pojawiło się ponownie, usłyszałam, jak stęka za moimi plecami. Nadal czułam ziemię i żwir na twarzy. Wszystko inne stało się odrętwiałe.

Jednak, ku swojemu zaskoczeniu, wydostałam się z jego uścisku.

Z przerażeniem zdałam sobie sprawę, że nawet tego nie zauważył. Bo dziewczyna z ciemnymi, potarganymi lokami, leżąca twarzą do ziemi, ani drgnęła.

Oglądałam w telewizji wydania specjalne programu *Dateline* o ludziach, którzy mieli doświadczenia przebywania poza ciałem. Doświadczenia z pogranicza śmierci. Szybko zdecydowałam, że działo się ze mną właśnie coś takiego.

– ZEJDŹ ZE MNIE! – wrzeszczałam, rzucając się na niego.

Z całej mocy waliłam go pięściami po plecach, ale moje ręce miały siłę skrzydeł motyla.

– Przestań, przestań, przestań! – krzyczałam. Wiedziałam, że nie może mnie usłyszeć. Nie byłam pewna, czy sama mogę się usłyszeć.

Dziewczyna leżąca na ziemi – ja – przestała walczyć. Jej wargi przybrały kolor głębokiej lawendy. Z kącika ust zwisała długa nitka śliny. Jej oczy nie były zamknięte, ale nie były też otwarte.

W końcu daleki odgłos samochodu nadjeżdżającego międzystanową sprawił, że odpuścił. Dźwięk był odległy, ale w pobliżu nie było się gdzie schować oprócz kęp szalwii i płytkiego potoku.

Patrzyłam, jak w końcu się podnosi i ogląda swoje ręce, a później wraca do niebieskiej kii.

Nie obejrzał się, żeby spojrzeć na ciało leżące na ziemi.

Nasłuchiwałam chrzęstu opon na drodze i czekałam na tę chwilę. Na chwilę, w której moja dusza połączy się na nowo z tym pozbawionym życia, zakurzonym ciałem leżącym na ziemi.

Usiadłam tak, aby znajdować się jak najbliżej swojego ciała.

– Odjechał – wyszeptałam. – Możesz już się przebudzić.

Wyobraziłam sobie ponowne zjednoczenie z własnym ciałem, koncentrując się z całej siły na sekundach poprzedzających okrywającą wszystko ciemność. Położyłam się obok siebie, mając nadzieję, że nagle ponownie poczuję ból i rozpaczliwą potrzebę oddychania. Tak jak to pokazali w odcinku *Dateline*. Widzisz siebie poza ciałem, a po chwili bum! I dochodzi do gwałtownego powrotu. Lub ukazuje się bliska kochająca osoba i mówi ci, że twój czas spotkania z Bogiem jeszcze nie nadszedł.

– Wróć – wyszeptałam. Pomyślałam o mamie, która już wróciła z pracy i pewnie się zastanawia, dlaczego nie przyjechałam przed nią. Dlaczego nie wysłałam SMS-a. Nie dałam znać, czy chcę dwa czy trzy placki pupusa.

Mój telefon leżał na ziemi obok mnie. Widziałam jego brzeg wystający spod uda.

Był nieruchomy i milczący.

Tak jak ja.